

Śmierć wróciła na gruszę

(P) Józef Szajna kilkakrotnie wystawiał „Śmierć na gruszy” Wandurskiego. Obecnie, w całkowicie nowej inscenizacji, wrócił do tej sztuki Wandurski, poeta i reformator teatru, jest postacią godną uwagi. Witold Filler poświęcił mu książkę. W młodości mojej, legendarna była krakowska prapremiera „Śmierci na gruszy”, reżyserowana przez Stanisława Wysocką. Atakowano za ten spektakl dyrektora Trzczeńskiego. Odpowiadał: „Jest i będzie najszczytniejszym

przywilejem teatru krakowskiego, że zawsze, podawał rękę młodym i najmłodszym, nie mającym dostępu na inne sceny”. Niemniej, po siedmiu spektaklach, zdjęto sztukę z afisza.

Wandurski posłużył się mitem ludowym, wracającym w bajkach Sabaly. Autor „Śmierci na gruszy” interesował się obrzędowymi widowiskami Jędrzeja Cierniaka, widział w nich przyszłość polskiej sceny. Zarazem szukał nowej formy, awangardowej i niekonwencjonalnej. W piśmie „Listy z teatru” postulował nowe odczytanie dramatów Rittnera jako kanwy „integralnego teatru”. Zdaje mi się, że spłot tak poetyckich zadań pociągał Szajnę. Kazał mu szukać coraz to nowych rozwiązań. Obecna inscenizacja „Śmierci” w Teatrze „Studio” wydaje mi się spokojniejsza, mniej „barokowa”, niż poprzednie. Szczególnie — w części drugiej.

Pierwsza jest bardzo żywiołowa. Uderza swoiste operowanie światłem, wydobywanie niezwyczajnych półtonów. Słowa, wypowiedane przez niektóre postacie, znajdują „przedłużenia” w mechanicznych „pogłosach” (jak echo). Użyto drabin, a także — wysuniętego na widownię podestu, na którym ulokowano przysłowliwą wierzbę. Pomysłowo użyte zostały muzyczne motywy Ravela Ellingtona i innych, w których rytmie suną do scenie korowody taneczne, w niezwykłych i wielopłaszczyznowych figurach. Akt drugi nastreczał szczególnie trudne zadania. Wypełnia go jedna sytuacja: śmierć siedzi na gruszy,

najpierw uwieczniona, potem „strajkująca”. Sens tego wszystkiego wyjaśnia nie tylko groteskowe sceny wojenno-makabryczne. (Szajna rzuca je pomysłowo na płócienne ekrany, jak w teatrze cieniów). Tłumacza — także i krancowe słowa „śmierci”, rozumiejącej ludzkie serca, protestującej przeciw nadaniu cech zbiorowej zagłady temu, co wynika z indywidualnych praw biologii. I myśle, że bliskie to jest zarówno byłemu więźniowi obozu, Józefowi Szajnie, jak i autorowi „Oczekiwania”, współadaptatorowi „Śmierci”, Jerzemu Broszkiewiczowi.

Ważne i trudne funkcje przypady w spektaklu wykonawczy postaci Śmierci, Irenie Jun. Owa Śmierć ma podwójne oblicze. Raz „wyszczerezona” maskę, kiedy indziej — piękną i wybawicielską twarz kobiecą, jak z obrazu Malczewskiego. Irena Jun umie ten dystans wypełnić pomysłowymi środkami, a jej niesamowicie drwiący śmiech działa elektryzująco. Wyborna, w każdym szczególe, rolę Wyrobnika daje Stanisław Brudny. Jego pojawienie się w „eleganckim” stroju, gdy po raz pierwszy wybiera się na spotkanie ze śmiercią, ma pełną wymowę. Dużo pomysłowości wkłada w rolę Wyrobnikowej intensywnie grająca Helena Norowicz. Niezwykłość ruchu i postaw — przed przeobrażeniem drugiego aktu — dają trzej parobcy. Antek (Józef Wierzerek), Kaźmirek (Eugeniusz Kamiński), a szczególnie Wojtek (Tomasz Marzecki).